

Zbigniew Brzeziński*

DYLEMAT OSTATNIEGO SUWERENA¹

Dzisiejsza Ameryka jest najbardziej suwerennym państwem świata. W naszych czasach pojęcie suwerenności zostało w dużej mierze wyzute z pewnych treści ze względu na zmieniające się realia, a mianowicie rosnącą współzależność między państwami. Dla większości państw pojęcie suwerenności jest bliskie prawnej fikcji. Nawet w przypadku kilku najsilniejszych państw chęć arbitralnego potwierdzenia swojej suwerenności powstrzymują powody racjonalne i praktyczne. Ostatecznie każdy kraj (czy raczej jego przywódcy) w przyływie własnej głupoty zdolny jest do popełnienia politycznego samobójstwa, ale w coraz bardziej politycznie zatłoczonym i złożonym świecie taką pokusę hamuje wzajemne nakładanie się na siebie interesów około 200 państw.

W tym kontekście amerykańska interwencja w Iraku i nie tak znów dramatyczne, ale jednak odosobnione stanowisko USA w sprawie Międzynarodowego Trybunału Karnego i Protokołu z Kioto stanowią potwierdzenie unikatowej pozycji Stanów Zjednoczonych jako ostatniego prawdziwie suwerennego państwa. Takie i inne działania odzwierciedlają, szczególnie po 11 września 2001 r., głębokie przekonanie administracji Busha, iż aby chronić amerykańskie interesy narodowe, Stany Zjednoczone muszą mieć pełną swobodę działań. Suwerenny Guliwer nie może być przecież związany przez niepoważne lilipyty.

Retoryka amerykańska po 11 września i związana z nią strategiczna reorientacja oznaczają zerwanie z pięcioma dekadami dwupartyjności w kształtowaniu globalnej polityki Stanów Zjednoczonych. Mimo iż kilku wiodących demokratów bez pardonu krytykowało posunięcia tej administracji, jednak w przeważającej części ich środowisko ze względów taktycznych zaakceptowało przesłanki nowej strategii, traktując je jak własne. W ten sposób poczynania większości z nich, a także ich demokratyczna polityka zagraniczna nabrały „lekkiego bushowego” posmaku.

W dalszej perspektywie chodzi o przemyślenie i głębokie zrewidowanie dotychczasowej doktryny i strategii narodowej USA. Kluczową sprawą jest dzisiaj problem, czy diagnoza postawiona w obliczu wydarzeń wrześniowych, koncentrująca się głównie na walce z terroryzmem, stanowi mądrą odpowiedź dla Ameryki i całego świata. Bądź co bądź nawet niezaprzeczalny fakt, że Ameryka to suwerenne mocarstwo, prowokuje pytanie: suwerenne, ale za jaką cenę? Może należałoby bez

* Niniejszy tekst ukazał się najpierw w „The American Interest”, jesień 2005.

¹ Zbigniew Brzeziński, były doradca prezydenta USA ds. bezpieczeństwa narodowego; obecnie doradca w waszyngtońskim Center for Strategic and International Studies.

cienia wątpliwości odpowiedzieć: za cenę bezpieczeństwa narodowego. Ale taka odpowiedź rodzi dalsze pytanie: czy starania o podtrzymanie wyjątkowego statusu Ameryki jako wolnego od ograniczeń suwerena w końcu nie staną się zagrożeniem dla jej bezpieczeństwa czy swobód obywatelskich?

Niewątpliwie Ameryka musi się zmierzyć z nowym, ważnym, globalnym zjawiskiem, mianowicie doświadczania przez ludzką bezprecedensowego ze względu na skalę i intensywność przebudzenia świadomości politycznej. Konsekwencją tego jest przekształcenie polityki siły w politykę populizmu. Konieczność uporania się z problemami, jakie stwarza to masowe zjawisko, stawia suwerenną Amerykę przed historycznym dylematem określenia definicji światowej roli Stanów Zjednoczonych. Poważna dyskusja wokół tej kluczowej kwestii dopiero się rozpoczęła.

POLITYKA ZAGRANICZNA PO 11 WRZEŚNIA: POLITYCZNY TRIUMF I SŁABOŚĆ STRATEGII

Przed wrześniowymi wydarzeniami 2001 roku administracja Busha nie prowadziła właściwie polityki zagranicznej. Nie jest więc niczym zaskakującym, że ta, którą mamy obecnie, została sformułowana w atmosferze publicznego gniewu i podsycanego niepokoju po ataku na wieże WTC. Natychmiastową odpowiedzią administracji Busha było uruchomienie kampanii narzucającej opinii publicznej definicję wyzwań, przed którymi stoi Ameryka, oraz przedstawienie całościowej, globalnej odpowiedzi na to wyzwanie. Wydarzenia z 11 września stały się punktem odniesienia i źródłem inspiracji. W rezultacie powstała polityka zagraniczna ograniczona pod względem zasięgu, chociaż dalekosiężna, jeśli chodzi o konsekwencje.

Intelektualną podstawą jej założeń jest zerwanie strategicznej ciągłości w stosunkach międzynarodowych. Groźba terroryzmu, podsycana przez nieodpowiedzialne państwa „hultajskie” i tym bardziej złowieszcza, bo oparta na rozprzestrzenianiu się broni masowego rażenia, w dużym stopniu zastąpiła niebezpieczeństwa do tej pory generowane przez tradycyjną rywalizację mocarstw. W tym kontekście najważniejszy stał się nacisk na „globalną wojnę z terroryzmem” podsycany mobilizacją patriotyczną i legitymizacją działań, które w innym przypadku mogłyby być postrzegane jako pozaprawne czy nawet całkowicie nielegalne. Wedle autorów nowej strategii 11 września *de facto* usprawiedliwił zawieszenie *habeamus corpus* nawet dla amerykańskich obywateli, stosowanie „stresujących” technik przesłuchań wobec zatrzymanych (zwanych inaczej torturami) i unilateralne akcje wojskowe – podobnie jak atak na Pearl Harbor usprawiedliwił w oczach opinii publicznej zrzuconie bomby atomowej na Hiroszimę. Istniało wtedy poczucie, iż są to nieuniknione, bolesne, lecz ostatecznie konieczne atrybuty prowadzenia wojny.

Skoncentrowanie się na terroryzmie było także politycznie korzystne ze względu na nieokreśloną pojemność znaczeniową tego słowa. Po 11 września żadnemu Amerykaninowi nie trzeba było tłumaczyć, co kryje się pod pojęciem terroryzmu. Dzięki temu nie istniała też potrzeba tłumaczenia, jak ma wyglądać światowa wojna z terroryzmem, albo po czym można będzie poznać, że taka wojna dobiegła końca. Nie było potrzeby precyzowania, kim właściwie są terroryści, skąd pochodzą,

ani też jakie przyczyny historyczne, uczucia religijne czy też polityczne frustracje sprawiły, że ich nienawiść skupiła się na Ameryce. W ten sposób terroryzm zastąpił sowiecką broń nuklearną w roli głównego zagrożenia, a terroryści (potencjalnie wszechobecni i generalnie identyfikowani z islamem) zastąpili komunistów w roli głównego wroga.

Szybkie stworzenie nowego obrazu świata przez administrację Busha przeformowała w Białym Domu i Departamencie Obrony energiczna i silnie zmotywowana grupa, podzielająca te same wartości. Wewnętrzna konsolidacja administracji połączona z zewnętrznym lękiem, oburzeniem i głodem zdecydowanych działań wykluczyła wszelką polityczną debatę. Każdy z trzech dobrze znanych kluczowych elementów nowej strategii Stanów Zjednoczonych podkreślał zerwanie z ciągłością w stosunkach międzynarodowych: 1) unilateralizm, usprawiedliwiony prawem do obrony, zastąpił ideę wspólnego bezpieczeństwa opartego na Sojuszu Północnoatlantyckim oraz sankcji ONZ jako źródle legitymizacji; 2) prawo do ataków prewencyjnych czy nawet wyprzedzających zastąpiło koncepcję odstraszenia jako podstawę bezpieczeństwa narodowego (nie dostrzeżono jednak, że ryzyko błędu popełnionego przez wywiad może uruchomić interwencję wojskową na podstawie nieprawdziwych podejrzeń; stało się to później główną przyczyną kompromitacji w związku z inwazją na Irak); 3) oparcie się na doraźnych koalicjach obniżyło centralną pozycję istniejących relacji sojuszniczych (np. NATO) i zwiększyło rolę wygodnych porozumień taktycznych (np. z partnerami w rodzaju Rosji).

Nie da się zaprzeczyć, że nowa strategia odzwierciedla zarówno ducha czasu, jak i aktualne niepokoje, a w pewnym stopniu odpowiada również wymogom pozimnowojennej ery. Wojna z terroryzmem przyczynia się do stworzenia nowej historycznie, pociągającej strategii. Prawie natychmiastowym jej przejawem było szybkie i sprawne przeprowadzenie operacji wojskowej jesienią 2001 roku w celu zniszczenia afgańskiego „gniazda szerszeni”. Ta akcja wzbudziła aplauz w kraju i uzyskała szerokie poparcie za granicą. Szybkie pokonanie talibów i rozproszenie najwyższego dowództwa Al-Ka’idy udowodniło opinii publicznej, że globalna wojna z terroryzmem jest zarówno realna, jak i możliwa do wygrania. Zwycięstwo było bardzo blisko.

Afganistan, który można było istotnie uważać za strategiczny triumf, szybko został zdegradowany do jedynie taktycznego sukcesu, głównie ze względu na działania samej administracji. Z przyczyn szeroko dyskutowanych, jednak do dziś niewyjaśnionych, ludzie odpowiedzialni za tworzenie amerykańskiej strategii połączyli kampanię przeciwko Al-Ka’idzie Usamy ibn Ladina z operacją wojskową mającą na celu zmianę reżimu w Iraku, i w dodatku zrobili to, nie zważając na prawo międzynarodowe. W ten sposób Irak stał się centralnym strategicznym miejscem ogólnoświatowej wojny przeciwko terroryzmowi.

Publiczna kampania ciągłego ostrzegania przed domniemanym zagrożeniem terrorystycznym trwała, pomimo wojskowych sukcesów w Afganistanie i Iraku, aż do wyborów prezydenckich 2004 roku. Jako że środki masowego przekazu ze swej natury lubią konkurować w straszaniu ludzi, ledwie upłynął tydzień spokoju – w telewizji i ilustrowanych gazetach – znowu zaczęto straszyć Amerykanów nowymi

koszmarnymi scenariuszami. Natychmiast wylęły się roje rzekomych ekspertów od terroryzmu. Można jedynie spekulować, co by się działo, gdyby na przykład media wraz z najwyższymi władzami kraju informowały, że zdrowie każdego obywatela pogarsza się gwałtownie, że nasze serca słabną, pamięć jest coraz krótsza, nasze organy wewnętrzne zużywają się coraz szybciej, nowotwory rozprzestrzeniają się i że nikt nie uniknie załamania fizycznego. Rezultatem takiej kampanii byłaby zmiana zdrowego narodu w zdeklarowanych hipochondryków.

Nic dziwnego, że po regularnych, różnokolorowych alarmach ostrzegających przed nadciągającym, ale niezidentyfikowanym niebezpieczeństwem i usprawiedliwianiu szerzenia się psychozy strachu pewna siebie Ameryka zmieniła się w naród kierowany lękiem. Co więcej, termin „wojna z terrorem” stał się polityczną formułą zgodną z powiedzeniem „orzęł – wygrywam ja, reszka – przegrywasz ty”. To, że po 11 września nie doszło już do żadnych ataków terrorystycznych, można było prezentować jako dowód, iż prezydent wygrał wojnę, natomiast gdyby się one pojawiły, świadczyłyby o tym, że kontynuowanie wojny jest usprawiedliwione. Nie dziwi więc, iż zgodnie z precedensami historycznymi wojenna kampania wyborcza zakończyła się sukcesem i wygraną urzędującego zwierzchnika sił zbrojnych².

Jednak polityczny triumf administracji nie przełożył się na strategiczny sukces Ameryki. Wojna w Iraku, rozpoczęta jednostronnie w 2003 r. na podstawie fałszywych przesłanek, okazała się pod każdym względem bardziej kosztowna, niż początkowo zakładano. Pomimo że wielu Amerykanów nadal ginie, a tysiące wraca do domu okaleczonych, to czas po zakończeniu głównych działań bojowych został w ogromnym stopniu zmarnowany, a ogólny koszt finansowy szybko osiągnął poziom setek miliardów dolarów. W skali międzynarodowej efektem zaangażowania w Irak było nasilenie się bezprecedensowej wrogości wobec Ameryki i ogromna utrata jej wiarygodności, a także wiarygodności prezydenta Busha. Przyczyniły się do tego demagogiczne argumenty w sprawie domniemanego istnienia w Iraku broni masowego rażenia, hańbiące zachowanie się żołnierzy w Abu Ghraib i Guantanamo, niebezpieczne rozproszenie się amerykańskich sił wojskowych, co z kolei obniżyło zdolność do powstrzymywania Korei Północnej przed rozbudową arsenału nuklearnego.

Źródłem szczególnej troski jest nasilająca się wrogość wobec Ameryki w całym świecie islamskim. Pomimo że administracja powstrzymywała się od retoryki antymuzułmańskiej, kładła jednak nacisk na zagrożenie terrorystyczne. Przy wsparciu seriali telewizyjnych i lokalnych ugrupowań antyarabskich wylansowała obraz przyczapajonego muzułmanina terrorysty, gotowego na uderzenie w Amerykę. W połączeniu z resentymentem, jaki budzi poparcie Ameryki dla Izraela, inwazja na

² Robert Willer w swojej pracy *The effects of government-issued terror warnings on presidential approval ratings*, „Current Research in Social Psychology” 2004, t. 10, nr 1 twierdzi, że „istnieją logiczne dowody popierające hipotezę, iż wydawane przez rząd ostrzeżenia przed zagrożeniem atakami terrorystycznymi doprowadziły do wzrostu notowań prezydenta Busha”. W publicznej dyskusji prowadzonej po wyborach w 2004 r. Tom Ridge, były sekretarz ds. bezpieczeństwa wewnętrznego, oświadczył, że często nie zgadzał się z innymi wysokimi urzędnikami, którzy nalegali na podniesienie poziomu zagrożenia do pomarańczowego alertu. Odnotował także, że „były to czasy, kiedy niektórzy ludzie naprawdę zachowywali się agresywnie, byle tylko ogłosić wyższy stan alarmowy („USA Today” z 11 maja 2005 r.).

Irak i antyislamskie nastawienie amerykańskiej opinii publicznej dały muzułmańskim fundamentalistom możliwość promowania nienawistnego obrazu Ameryki jako Szatana. Wyraźnie wskazuje na to raport komisji ds. 11 września. Tocząca się w łonie islamu walka pomiędzy fanatykami a umiarkowanymi muzułmanami przekształciła się w konflikt między islamem a Ameryką, ze szkodą zarówno dla umiarkowanych muzułmanów, jak i samych Stanów Zjednoczonych.

Jeszcze większym zagrożeniem dla długofalowych interesów Ameryki jest globalny trend tworzenia regionalnych koalicji, które charakteryzuje ledwie ukrywana orientacja antyamerykańska. Dystansowanie się od rządu Stanów Zjednoczonych i wszystkiego co amerykańskie stało się politycznie popularne w Azji, Europie i Ameryce Łacińskiej. Takie nastroje sprzyjają działaniom, które podejmują Chiny w celu ograniczenia wpływów USA w tym regionie. Wykorzystują one rodzącą się w Azji Wschodniej i Południowo-Wschodniej tożsamość panazjatycką. W coraz mniejszym stopniu transatlantycki klimat towarzyszy także europejskim wysiłkom zmierzającym do politycznej integracji w ramach Unii Europejskiej. Zachęca także do kultywowania bliskich relacji z Europą i Chinami przez grono nowych, demokratycznie wybranych, chociaż raczej lewicowych prezydentów Ameryki Łacińskiej. Wyłanianie się silnych paneuropejskich i panazjatyckich społeczności, bardziej niż transatlantyckich czy transpacyficznych, zintensyfikuje proces izolacji Ameryki.

Na przełomie 2004 i 2005 roku administracja zaczęła zdawać sobie sprawę z takiego niebezpieczeństwa, w konsekwencji sugerując redefinicję usprawiedliwienia prowadzonej polityki. Od tego momentu retoryka administracji bardziej akcentowała światową wojnę o wolność niż wojnę z terroryzmem. Idee wywodzące się z Karty Atlantyckiej Franklina D. Roosevelta, kampanii na rzecz promowania praw człowieka Jimmy'ego Cartera oraz z Czternastu Punktów Woodrowa Wilsona zostały włączone do prezydenckiego przemówienia inauguracyjnego, wygłoszonego w styczniu 2005 roku. W ten sposób administracja rozpoczęła kampanię na rzecz wolności. Zagraniczni sceptycy nie mogli jednak oprzeć się wrażeniu, że najczęściej przytaczanymi przez władze przykładami sukcesów w krucjacie na rzecz niesienia demokracji były Afganistan i Irak, oba państwa znajdujące się pod okupacją wojsk amerykańskich, a także terytorium palestyńskie, wciąż pozostające pod okupacją Izraela.

Podsumowując, amerykańska polityka zagraniczna po 11 września okazała się krótkowzroczna, nadmiernie alarmistyczna w swej retoryce, a jej konsekwencje okazały się zbyt kosztowne. Jej efektem jest także osłabienie bezpieczeństwa narodowego oraz spadek zaufania do USA jako światowego mocarstwa. Co gorsza, leżąca u jej podstaw strategiczna diagnoza nie proponuje w sposób historycznie uzasadniony definicji globalnej roli Ameryki, która służyłaby narodowemu zjednoczeniu i międzynarodowej legitymizacji.

AMERYKA I GLOBALNE POLITYCZNE PRZEBUDZENIE

Diagnoza polityki, która po 11 września akceptuje zerwanie historycznej ciągłości w polityce zagranicznej, używa argumentu, że największym wyzwaniem na-

szych czasów nie jest światowy terroryzm, ale narastające turbulencje spowodowane zjawiskiem globalnego przebudzenia politycznego. To przebudzenie ma bardzo szeroki społeczny zasięg i radykalne zabarwienie. Wyzwanie, jakie stoi przed suwerennością Ameryki, nie polega na bronieniu się Guliwera przed liliputami, które chcą go związać, ale na tym, że Guliwer musi budować wraz z gwałtownie rosnącymi liliputami efektywną wspólnotę globalną.

Pomimo że ogólnoswiatowy zasięg takiego przebudzenia jest czymś nowym, to ma ono długą historię. To francuska rewolucja 1789 roku pobudziła aktywność społeczną, najpierw we Francji, a potem w całej Europie. Jej intensywność i zasięg społeczny nie miały precedensu. Poruszenie masowej świadomości politycznej było stymulowane przez rozpowszechnienie literatury, a szczególnie pamfletów. Francję ożywiły populistyczna satyra, manifesty, płomiennie wystąpienia w różnorodnych klubach politycznych, ale także w zapadłych wioskach. Wybuch aktywizmu społecznego sprowokowała nie tylko nowa burżuazja i niższe warstwy społeczeństwa miejskiego, ale także rolnicy, kler i arystokracja.

Mitologia francuskiej rewolucji sprawiła, że wzniosłe idee – Wolność, Równość, Braterstwo – weszły do panteonu politycznych wartości. W rzeczywistości jednak rewolucja przyniosła także terror trybunałów rewolucyjnych, narodowych namiętności i brutalnej walki klasowej – nie wspominając już o rozprzestrzenianiu się rewolucji w Europie w postaci wojen wyzwoleniczych. Istotnie, idea terroru jako rozmyślnego narzędzia politycznego nacisku ma swoje korzenie właśnie w rewolucji francuskiej. Połączone ze sobą idealizm i namiętność stworzyły mieszanekę, która zmieniła nowoczesną politykę przez pojawienie się społecznie silnej świadomości narodowej.

W ciągu kolejnych 216 lat polityczne przebudzenie rozprzestrzeniło się powoli, lecz nieodwracalnie, podobnie jak plama atramentu na papierze. Europa roku 1848, a ogólnie rzecz biorąc ruchy narodowościowe późnego XIX i wczesnego XX wieku, odzwierciedla nową politykę opartą na populizmie i rosnących zobowiązaniach wobec mas. Momentami ta kombinacja pokrywa się z manichejską utopią, dla której rewolucja bolszewicka 1917 roku, objęcie władzy przez faszystów we Włoszech w 1922 roku czy dojście do władzy nazistów w Niemczech w 1933 roku były zmienną ilustracją. Polityczne przebudzenie sięgnęło także Chin, pogrążając je na kilka dziesięcioleci w wojnach domowych. Tendencje antykolonialne zelektryzowały Indie, gdzie taktyka biernego oporu efektywnie ukróciła dominację imperialną, a po II wojnie światowej polityka antykolonialna zakończyła istnienie imperiów europejskich. W zachodniej hemisferze Meksyk doświadczył około 1866 roku pierwszego zrywu aktywizmu społecznego, który doprowadził na początku XX wieku do rewolucji meksykańskiej.

Nie będzie przesadą twierdzenie, że u progu XXI wieku narody w większości rozwijających się państw świata charakteryzuje stan politycznego napięcia, a w wielu miejscach nawet wrzenia. Obywatele tych państw na niespotykaną skalę są świadomi niesprawiedliwości społecznej, a często także mają poczucie politycznego upokorzenia. Szeroki dostęp do radia, telewizji, internetu tworzy nową wspólnotę kierowaną wspólnymi poglądami na świat i uczuciem zazdrości, które można uak-

tywniać i kanalizować przez rozbudzanie demagogicznych, religijnych i politycznych namiętności. Taka siła działa ponad granicami i stanowi zagrożenie zarówno dla poszczególnych państw, jak i istniejącej światowej hierarchii, na której szczycie wciąż znajduje się Ameryka.

Dzisiaj trudno jest analizować przyszłość Chin lub Indii, nie biorąc pod uwagę prawdopodobnych zachowań społeczeństw tych państw, których aspiracje społeczne i polityczne nie są kształtowane jedynie przez impulsy lokalne. Można być zaskoczonym, obserwując podobieństwo ostatnich wybuchów niepokoju w Kirgistanie, Egipcie czy Boliwii. Muzułmanie na Bliskim Wschodzie, w Azji Południowo-Wschodniej i w Afryce Północnej, a także rosnąca ich liczba w Europie, ponadto Indianie w Ameryce Łacińskiej, coraz częściej definiują swoje potrzeby w odpowiedzi na to, co postrzegają jako negatywne działania świata zewnętrznego. W różnym stopniu nie podoba im się zastany układ rzeczywistości, wyrażają owo niezadowolenie w różny sposób i wielu z nich jest gotowych poddać się werbunkowi do działań przeciwko zewnętrznym potęgom, które zarówno budzą w nich wrogość, jak i są przez nich postrzegane jako broniące *status quo*.

Szczególnie niecierpliwa jest pełna resentymentu młodzież Trzeciego Świata. Do tego dochodzi problem demograficznej rewolucji, którą uosabia, a która może stać się polityczną bombą zegarową. Z wyjątkiem Europy, Japonii i Ameryki wszędzie na świecie następuje gwałtowny wzrost liczby ludzi młodych w wieku do 25 lat. Ich umysły pobudzone są dalekimi dźwiękami i obrazami, które jednocześnie wzmacniają niezadowolenie z tego, co znajduje się wokół nich. Jest prawdopodobne, że ich potencjał rewolucyjny wyłoni się wśród milionów studentów, którzy uczą się w wątpliwej jakości instytucjach oświatowych trzeciego stopnia w krajach rozwijających się³. Studenci pochodzą na ogół z niepewnych swojego statusu niższych warstw klasy średniej, w pełni mającej poczucie niesprawiedliwości społecznej. To oni właśnie okażą się rewolucjonistami czekającymi na dogodny czas. Są już na wpół zmobilizowani i zorganizowani, komunikują się za pomocą internetu i są wstępnie przygotowani na powtórkę tego, co przed laty wydarzyło się w Meksyku czy na placu Tiananmen, tylko na jeszcze większą skalę. Ich energia i frustracja czeka tylko na sygnał, którym może być jakakolwiek awantura religijna czy akt przemocy.

Podsumowując, można powiedzieć, że dokonujące się polityczne przebudzenie nie pozostawia biernym żadnego kontynentu czy nawet regionu. Jest wszechstronne, jeśli chodzi o skalę społeczną, z wyjątkiem odległych społeczności wiejskich, ciągle uodpornionych na stymulację polityczną. Chodzi przede wszystkim o ludzi młodych i podatnych na polityczny werbunek. Inspiracją tego przebudzenia jest jego ponadnarodowy charakter, ogromny wpływ literatury i środków masowej komunikacji. W rezultacie nowoczesna, populistyczna i polityczna pasja może zostać skierowana przeciwko nawet odległym celom nawet pomimo braku ujednoczonej doktryny (na przykład marksizmu). Tym bardziej przeciwko Ameryce, coraz bar-

³ Zależnie od definicji instytucji oświatowej trzeciego stopnia szacuje się, że studentów pobierających w nich naukę jest obecnie od 80 do 130 milionów.

dziej skonfliktowanej, jeśli chodzi o obsadę personalną administracji, pełnej społecznych i politycznych resentymentów i religijnych nieporozumień.

Terroryzm jest destrukcyjnym i ekstremalnym symptomem tego rozprzestrzeniającego się resentymentu. Ale terroryzm – muzułmański czy jakkolwiek inny – nie określa naszych współczesnych stosunków międzynarodowych. Stanowi bez wątpienia taktyczne, a w przyszłości może także strategiczne zagrożenie dla bezpieczeństwa narodowego⁴. Ale obarczać terroryzm winą za codzienne zmartwienia milionów zalęknionych Amerykanów to trochę tak, jakby uważać, że w późnych latach sześćdziesiątych i wczesnych siedemdziesiątych polityka wewnętrzna Stanów Zjednoczonych koncentrowała się nie na konieczności przyznania Afroamerykanom pełni praw obywatelskich, ale na zagrożeniu ze strony Czarnych Panter. W dzisiejszym świecie porównywanie terroryzmu do zagrożeń prawie apokaliptycznych może zakończyć się zlekceważeniem szerszego globalnego kontekstu, który sprzyja ekstremizmowi i przemocy. Większość istniejących dziś państw już nie rządzi spokojnymi, cichymi obywatelami. Są one podatne na populistyczne żądania, których nie potrafią później efektywnie spełnić.

ZMIANA ŚWIATOWEJ MISJI AMERYKI

Zrekompensowanie słabości nominalnie suwerennych państw, które tak naprawdę są coraz mniej suwerenne, będzie wymagało ponadnarodowej współpracy, aktywnie promowanej przez Stany Zjednoczone. Narodowo-państwowa struktura stała się zbyt ciasna dla politycznych rozwiązań, gospodarczych środków zaradczych czy zahamowania wzrostu społecznego ciśnienia. Globalizacja jest przemierzaniem wewnętrznych żądań, krzywd i ponadnarodowej świadomości tworzących wrażenie, że gdzieś indziej, bliżej (na przykład w Unii Europejskiej z perspektywy Ukrainy) czy dalej (w Stanach Zjednoczonych z perspektywy Sri Lanki), trawa jest bardziej zielona.

Podczas gdy żaden międzynarodowy problem nie może być rozwiązany bez Ameryki, Ameryka nie może rozwiązać żadnego międzynarodowego problemu sama. Niech za przykład służą północnokoreańska broń nuklearna, irańskie starania o to, aby ją zdobyć, nierozwiązana kwestia palestyńska, mordy w Darfurze, wzrost potęgi Chin, brutalne ekscesy słabnącej Rosji w Czeczenii czy negatywne konsekwencje amerykańskiej obecności w Iraku. Aby rozwiązać te problemy, Ameryka potrzebuje partnerów. Europa jest jej historycznym sojusznikiem i dlatego jedność Unii Europejskiej oraz jej rozszerzenie leżą w interesie USA. Japonia stanowi podstawowy element azjatyckiej równowagi sił obok Chin i Stanów Zjednoczonych. Ale żeby mieć tych przyjaciół, Stany Zjednoczone muszą być przygotowane na wspólne rozwiązywanie problemów i wspólne pojmowanie rzeczywistości. Nielubiana Ameryka, która redukuje problemy świata do sloganów o terroryzmie i demokracji, nie będzie mogła tego zrobić. Jeśli chcemy, aby Amerykanie mieli prawdziwą al-

⁴ Wg oficjalnych statystyk Światowej Organizacji Zdrowia i Departamentu Stanu w ciągu roku z powodu przemocy fizycznej śmierć poniosło 1 600 000 ludzi (2002 r.), wypadków drogowych – 1 200 000 osób (2004 r.), ataków terrorystycznych – 625 osób (2003 r.).

ternatywę wobec obecnej polityki „bushyzmu w wersji light”, musi to zostać jasno powiedziane.

Promowanie demokracji jest zaledwie częściową odpowiedzią na ogromne i trudne wyzwania stojące przed nami. Ludzkość jest spragniona poczucia politycznej godności, a demokracja może ją wzmocnić. Jednak w pojęciu godności politycznej zawiera się prawo do etnicznego, narodowego, a także religijnego samookreślenia, prawa socjalne i prawa człowieka. Dążenie do zapewnienia godności politycznej, szczególnie przez narodowe samookreślenie i transformację społeczną, mieści się w ramach trendu, zgodnie z którym nieuprzywilejowane warstwy społeczne bronią swoich praw.

Dlatego właśnie Ameryka powinna uprawomocnić swój międzynarodowy status, demonstrując wolę współpracy politycznej i społecznej dla osiągnięcia wspólnych celów. Demokracja sama z siebie nie jest trwałym rozwiązaniem. Bez rozwoju społecznego i dojrzałego społeczeństwa obywatelskiego, pospiesznie wprowadzona – tak jak na przykład na Bliskim Wschodzie – może zostać wykorzystana przez radykalnych populistów, których uprawomocnienie wyborcze pozwala na antyamerykańskie zachowania. Demokracja, której nie towarzyszy sprawiedliwość społeczna, była możliwa w czasach arystokracji, ale dziś nie pozwala na to owo masowe polityczne przebudzenie. Dziś jedno bez drugiego z góry skazane jest na niepowodzenie. Promowanie demokracji musi być więc bezpośrednio połączone z wysiłkami na rzecz eliminowania skrajnego ubóstwa i stopniowego zmniejszania się globalnych nierówności.

Historycznym paradoksem naszych czasów jest to, że ponadnarodowa współpraca jest możliwa, tylko gdy przywództwo obejmie ostatnie suwerenne państwo, a przyłączą się do niego główne potęgi regionalne, gotowe powoli podporządkować swoją suwerenność ponadnarodowym instytucjom. Jednakże całościowa strategia rozwoju i politycznie niespokojnego globalnego świata nie może być wdrażana przez państwo, które w swoich przedsięwzięciach kieruje się lękiem i odgradza od społeczności międzynarodowej. Efektywna odpowiedź na obecne wyzwania może pochodzić jedynie od Ameryki pewnej siebie, prawdziwie zaangażowanej w nową wizję globalnej solidarności.

Wyjaśnijmy od razu, że współpraca ponadnarodowa nie powinna być mylona z rządem światowym. Nawet jeśli byłby on potrzebny, to ludzkość nie jest i długo nie będzie jeszcze na to gotowa (z pewnością Amerykanie by tego nie chcieli). Zamiast tego Ameryka musi zacząć szybciej kształtować porządek świata, który w mniejszym stopniu będzie oparty na fikcji suwerenności państw, a w większym na rozszerzającej się, politycznie regulowanej współzależności. Globalizacja nie jest już tylko redefinicją spraw gospodarczych. Coraz większego znaczenia nabierają kwestie polityczne. Suwerenność Stanów Zjednoczonych zaprzęgnięta w działania dla wspólnego dobra prawdopodobnie zostałaby pozytywnie odebrana i łatwiej zaakceptowana przez świat niż obecna Ameryka, koncentrująca się na własnych interesach.

W świecie nasilających się niepokojów promowanie zachowań społecznych i politycznie stabilizujących globalną solidarność będzie wymagało zarówno formal-

nych, jak i nieformalnych środków. Możliwości formalnego zinstytucjonalizowania współpracy są dziś zdecydowanie większe w dziedzinie społeczno-ekonomicznej i humanitarnej niż w obszarze politycznym i bezpieczeństwa. Ze względu na trudności z legitymizowaniem procesu decyzyjnego niemal dwustu formalnie suwerennych państw trzeba będzie, w dłuższej perspektywie czasu, zawierać nieformalne porozumienia między głównymi graczami tak, aby odzwierciedlały one realny podział sił. Porozumienia takie będą musiały być poszukiwane poza istniejącymi strukturami ONZ.

Niestety, światowa pozycja Ameryki pozostawia wiele do życzenia, szczególnie jeśli chodzi o kwestie społeczno-ekonomiczne i humanitarne. Stanowisko Stanów Zjednoczonych wobec rosnącego zagrożenia dla środowiska naturalnego jest postrzegane jako lekceważenie problemów ekologicznych. Bez względu na przyczyny amerykańskich zastrzeżeń wobec porozumień z Kioto, odmowa ich ratyfikacji została odebrana przez znaczną część społeczności międzynarodowej jako egoistyczne ignorowanie wspólnych interesów. Brak, jak dotąd, jakichkolwiek poważnych wysiłków ze strony Ameryki, aby zaproponować możliwą do przyjęcia alternatywę, wzmocnił negatywne wrażenie.

Pomimo że nastąpił wymierny postęp w osiągnięciu tzw. celów milenijnych, Stany Zjednoczone nie zamierzają wypełnić zobowiązań przyjętych w 2002 roku w Monterrey dotyczących znacznego zwiększania skromnych środków przeznaczonych na pomoc rozwojową. Kontrastuje to bardzo z potężnym wzrostem wydatków na potrzeby wojska i bezpieczeństwa narodowego w ostatnich latach. Rezultaty trwających wciąż negocjacji Światowej Organizacji Handlu (konferencja w Doha) nad rozwiązaniem najważniejszych kwestii spornych w stosunkach z krajami rozwijającymi się, dotyczących m.in. dopłat do rolnictwa i dostępu do rynków, nie są pewne. Uprzywilejowana pozycja Stanów Zjednoczonych i Unii Europejskiej jest kontestowana przez na wpół zorganizowany blok państw rozwijających się z Chinami, Indiami, Brazylią i RPA na czele. Szybkie porozumienie jest bardzo potrzebne, ponieważ w 2007 roku w USA wygasa możliwość wprowadzania prawa przy wykorzystaniu szybkiej ścieżki legislacyjnej, skutkiem czego ratyfikacja przez Senat jakiegokolwiek długoterminowego kompromisu będzie prawie niemożliwa.

Oprócz względów praktycznych, także czynniki moralne dyktują potrzebę zwiększenia znaczenia ponadnarodowych zasad w stosunkach między państwami. Potrzeba istnienia takich reguł jest dostrzegana i akceptowana w sferze handlu, a ich egzekwowaniem powinna zajmować się WTO, co popiera Ameryka. Jednak wykazuje ona bardziej sceptyczne podejście w odniesieniu do międzynarodowej jurysdykcji w dziedzinie sprawiedliwości. Pomimo oficjalnego, pełnego powściągliwości stanowiska tego kraju, haskie procesy zbrodniarzy wojennych zdobywają poparcie na świecie. Powinno to doprowadzić do ponownego rozważenia stanowiska USA wobec Międzynarodowego Trybunału Karnego.

W dziedzinie bezpieczeństwa międzynarodowego postęp w rozszerzaniu współpracy politycznej będzie musiał mieć charakter nieformalny. Pomimo że potęga wojskowa Ameryki będzie nadal umacniała jej suwerenne prawo do samoobrony, a przez to strategia odstraszania w relacjach między mocarstwami będzie miała

jeszcze sens, wielka wojna jako najwyższa forma absolutnej suwerenności staje się po prostu staroświecka. Nowe zagrożenia są związane przede wszystkim ze wzrostem globalnego niepokoju. Nadal istnieje groźba proliferacji broni jądrowej, której posiadaczami chce stać się wiele krajów. Poza tym może dojść do eskalacji występujących w wielu częściach świata aktów przemocy etnicznej i religijnej, które osiągną w pewnym momencie skalę masowych mordów. Większym zagrożeniem dla społeczności międzynarodowej może okazać się tylko broń biologiczna (ciągle amatorska, jednak łatwiej dostępna niż broń nuklearna).

Ponieważ zagrożenia te mają swoje źródła w zróżnicowanych czynnikach lokalnych i historycznych, a w szczególności są niebezpieczne dlatego, że są rozproszone po całym świecie, tylko przemyślana międzynarodowa koordynacja działań może stworzyć podstawy globalnej polityki bezpieczeństwa. Ta koordynacja obecnie nie może zostać osiągnięta ani przez ONZ, ani przez istniejące sojusze. Ani Rada Bezpieczeństwa ONZ, ani NATO nie są uniwersalne geograficznie, a także nie odzwierciedlają obecnego rozkładu sił w świecie. W dodatku próby rozszerzenia składu Rady Bezpieczeństwa ONZ są paraliżowane przez regionalnych rywali. Dlatego też powinien zostać stworzony nowy nieformalny mechanizm konsultacji między państwami zdolnymi do wniesienia poważnego wkładu do zapewnienia bezpieczeństwa międzynarodowego.

Istniejącą lukę mógłby wypełnić na wpół zinstytucjonalizowany, chociaż głównie o charakterze konsultacyjnym, Światowy Szczyt Bezpieczeństwa, którego członkowie zarówno reprezentowałyby uniwersalny zasięg geograficzny, jak i posiadałyby realną władzę. Światowy Szczyt Bezpieczeństwa mógłby zostać wzmocniony przez stały sekretariat w celu ułatwienia procesu konsultacji. Członkostwo w sekretariacie, oprócz Stanów Zjednoczonych, mogłyby mieć:

- trzy mocarstwa europejskie: Wielka Brytania i Francja (oba państwa posiadają prawo weta w Radzie Bezpieczeństwa, a także są mocarstwami nuklearnymi i dysponują siłami szybkiego reagowania, zdolnymi do operacji dalekiego zasięgu) oraz Niemcy (posiadające znaczny potencjał gospodarczy i wojskowy);
- Rosja (eurazjatyckie mocarstwo z prawem weta w Radzie Bezpieczeństwa i ze znaczącym potencjałem wojskowym);
- pięć mocarstw azjatyckich: w tym Chiny (prawo weta w Radzie Bezpieczeństwa), Indie (razem z Chinami obejmują jedną trzecią populacji świata, posiadają broń jądrową), Pakistan (ważny kraj muzułmański, dysponuje bronią jądrową), Indonezja (najludniejszy kraj muzułmański) i Japonia (globalna potęga gospodarcza i jeden z największych światowych wierzycieli);
- dwa państwa afrykańskie: Nigeria i RPA (odgrywają główną rolę w afrykańskich misjach pokojowych);
- dwa państwa latynoamerykańskie: Brazylia (odegrała ważną rolę w misji pokojowej na Haiti), Meksyk (jedna z większych potęg w rejonie Ameryki Środkowej i Karaibów).

Spotkania zaproponowanej G-14 na corocznym Światowym Szczycie Bezpieczeństwa może nie doprowadziłyby z dnia na dzień do powstania założeń światowej polityki bezpieczeństwa, jednak wzajemnie kształtowane spojrzenie na

proliferację lub terroryzm mogłoby przyspieszyć autentyczną współpracę wobec globalnych zagrożeń. Ponadto grupa G-14 miałaby tę dodatkową zaletę, iż uczestniczyłyby w niej zarówno Chiny, jak i Indie. Każdy z tych krajów może stać się przyczyną destabilizacji na świecie ze względu na wzrost nacjonalizmu i rosnący potencjał gospodarczy i polityczny⁵. Z pewnością nowa grupa mogłaby zastąpić coraz bardziej beładną G-8, tak w sprawach bezpieczeństwa, jak w kwestiach społeczno-ekonomicznych. W każdym razie Stany Zjednoczone musiałyby stanąć na czele takiej grupy, co oznaczałoby ich gotowość do zaakceptowania wspólnych decyzji i wspólne dźwiganie ciężaru odpowiedzialności za bezpieczeństwo międzynarodowe.

Szeroka i ambitna redefinicja globalnej roli USA mogłaby pomóc Stanom Zjednoczonym w uniknięciu skrajnych sytuacji, które w swoich pracach opisuje trzech wybitnych teoretyków polityki XX wieku: Oswald Spengler, Arnold Toynbee i Samuel Huntington. Każdy z nich pisał po lub przed katastroficznymi wydarzeniami XX wieku. Spengler zaraz po zakończeniu I wojny światowej i upadku niemieckiego imperium, Toynbee po II wojnie światowej, która wyczerpała jego kraj, Wielką Brytanię, a Huntington w przeddzień dezintegracji Związku Sowieckiego i wyłonienia się Stanów Zjednoczonych jako jedyne supermocarstwa. Każdy z nich przedstawiał narodziny i upadek mocarstw z innego punktu widzenia, ale wnioski, do których dochodzili, okazują się niezwykle trafne wobec aktualnych, globalnych dylematów Ameryki.

Spengler widział przyszłość Zachodu jako kulminację procesu politycznego upadku, podczas którego dynamiczne kultury narodowe przeciwstawiały się Cesarzowi. W tej cywilizacji pieniądze odgrywały najważniejszą rolę („to właśnie wszechobecny pieniądz, przenikający każdy aspekt ludzkiej egzystencji, często jej nie niszczył, ani też nawet w najmniejszym stopniu nie zakłócał”). Dzięki pieniądзом można było tworzyć warunki dla manipulowania ludźmi, „którzy domagają się broni i zmuszają swoich przywódców do uczestniczenia w konfliktach”. Spengler twierdził, że w takich konfliktach „w miejsce stałych armii będą powoli wchodziły profesjonalne siły ochotnicze złożone z żołnierzy zainteresowanych walką. W tej wojnie o panowanie nad światem zagrożone zostaną kontynenty, Indie, Chiny, Afryka Południowa, Rosja, islam wyzwane na pojedynek; nowe techniki i taktyki walki będą odgrywały pierwszorzędną rolę”. Rezultatem może być nawet „zniewolenie całej ludzkości przez reżim narzucony przez zdeterminowane chęcią rządzenia jednostki”⁶.

⁵ G-14 stworzona na takiej zasadzie udzielałaby rozsądnej i całościowej odpowiedzi na nowe globalne wyzwania mające swoje źródła w politycznie zdestabilizowanym świecie, bardziej niż schemat przedstawiany przez rosyjskich strategów, którzy namawiają Stany Zjednoczone do „świętego sojuszu” być może z Izraelem i Indiami, skierowanego ostentacyjnie przeciwko światowemu terroryzmowi, ale w rzeczywistości przeciw światu muzułmańskiemu i Chinom, które Rosja postrzega jako swoich głównych długofalowych przeciwników. Taki sojusz byłby fatalny w skutkach dla Ameryki, która mogłaby zostać głównym celem resentymentów, działając nawet jako tarcza obronna rosyjskich interesów politycznych.

⁶ O. Spengler, *The Decline of West*, wyd. H. Werner, tłum. C.F. Atkinson, Oxford University Press, New York 1991, s. 26–27, 376, 382, 395–396.

Toynbee idzie innym tropem, ale równie złowieszczym. Ostrzega przed „militaryzmem, który był do tej pory przyczyną kryzysu wszystkich cywilizacji w ciągu ostatnich 4–5 tysiącleci”. Twierdzi, że „istnienie dominującego i militarystycznego przekonania o własnej zdolności zadbania o siebie prowadziło do barbarzyńskiego zła, które przecież taka cywilizacja sama kontestowała”. Rezultatem była sytuacja, w której „państwo uniwersalne stawało się coraz mniej popularne, a jego instytucje coraz bardziej osłabiane przez obce wartości”. Toynbee kończy wnioskiem, że „destrukcja, która zniszczyła kilka poprzednich cywilizacji, wiązała się z upadkiem umiejętności rządzenia państwem”⁷.

Huntington z kolei twierdzi, że globalizacja, tak daleka od tworzenia wspólnej cywilizacji, powoduje powstawanie międzycywilizacyjnych zderzeń, z których najbardziej groźne są te między Zachodem a islamem. Konkluduje zapewnieniem, że „kolonializm europejski skończył się, a amerykańską hegemonię dopadła recesja. Erozja zachodniej kultury postępuje zgodnie z historyczną koniecznością wraz z językami, wierzeniami i instytucjami”. Dlatego też ostrzega, że „demokracja jest procesem sprzyjającym zamykaniu się w sobie, nie prowadzi zaś do zachowań kosmopolitycznych”; „rezultatem [tego procesu] jest mobilizacja przeciwko prozachodnim elitom wykształconym na Zachodzie”. „Ta mobilizacja ożywia religijne ruchy, które w przypadku Azjatów czy muzułmanów charakteryzują się silnym poczuciem wyższości ich kultury nad zachodnią”⁸.

Tezy Spenglera o manipulowanych masach domagających się wojny, Toynbeego o upadku umiejętności rządzenia, która podważa swoją własną imperialną siłę, i Huntingtona o kulturowo antagonistycznej demokratyzacji są wyjątkowo trafne wobec polityki zagranicznej prezydenta Busha. Przez 250 lat przesłanie Ameryki dla świata brzmiało: „dajcie nam waszych zmęczonych, waszych biedaków, wasze zgnębione masy chcące oddychać swobodnie”. Teraz hasło brzmi: „kto nie z nami, ten przeciw nam”. Dziś po 11 września politycznie przebudzony świat oczekuje czegoś lepszego od Ameryki – włożenia wysiłku w działania na rzecz poprawy kondycji ludzkiej. Tylko suwerenna Ameryka zaangażowana znacznie bardziej w sprawy ważniejsze niż jej bezpieczeństwo narodowe jest w stanie przysłużyć się ogólnoswiatowym interesom.

Thumaczyła: Aleksandra Piątkowska

⁷ A. Toynbee, *A Study of History*, skrót tomów I–VI, dokonany przez D.S. Somervella, Oxford University Press, New York 1946, s. 190, 419, 422.

⁸ S. Huntington, *The Clash of Civilizations and the Remaking of World Order*, Simon & Schuster, New York 2003, s. 91, 94, 102.